Nr. 22. Lwów, 16. listopada 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Do wszystkich delegatów i członków Galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Podczas ostatniego Walnego zgromadzenia naszego Towarzystwa, stał się ciałem projekt, o urzeczywistnieniu którego marzyliśmy długie lata, powstał zawiązek Klubu hodowli i tresury rasowych psów myśliwskich z siedzibą we Lwowie.

Pierwsze Walne Zgromadzenie członków nowonarodzonego stowarzyszenia postanowiło wybrać prowizoryczny komitet, na który nałożyło obowiązek przeprowadzenia wstępnych prac celem zorganizowania Klubu, zjednania członków, zawiązania stosunków z pierwszemi zagranicznemi hodowlami, zbadania krajowego materyału o ile by się do rozpłodu w przyszłości nadawał etc., z poleceniem sprawozdania z swych czynności do końca roku 1905.

Komitet zwrócił się wtedy z gorącą odezwą do członków Gal. Tow. Łowieckiego, prosząc w niej o współudział w ciężkiej pracy przygotowawczej i mimo, że nie doznał od nich takiego poparcia, jakiego się spodziewał, mimo, że natrafił w wielu wypadkach na znany nam wszystkim dobrze sceptycyzm i indyferentyzm,

udało mu się jednak przy udziale kilkudziesięciu ludzi dobrej woli i wiary przełamać pierwsze lody i pchnąć sprawę naprzód.

Dziś sprawy nasze przygotowawcze ukończyliśmy i zdamy je Wydziałowi Gal. Towarzystwa Łowieckiego na najbliższem jego posiedzeniu z żądaniem dalszych instrukcyi, co do zwołania Walnego zgromadzenia Klubu i propozycyi do ukonstytuowania Wydziału klubowego.

Ostatnim naszym obowiązkiem jest jeszcze raz zwrócić się do wszystkich członków Gal. Tow. Łow. z gorącą prośbą, by chcieli się jaknajprędzej do nowego stowarzyszenia zapisywać i znane im psy rasowe w kraju, jak najliczniej zgłaszać. Instytucya nowopowstała jest tak ściśle z łowiectwem związana, **że każdy członek Towarzystwa łowieckiego musi być członkiem Klubu hodowli psów rasowych.** Inaczej o rozwoju pomyślnym Klubu nie można i marzyć!

Zapisujcie się Panowie jak najprędzej a zbijajcie sceptycyzm i obojętność dla sprawy u waszych znajomych!

Twierdzenie, że sprawa udać się nie może u nas dla braku funduszów jest najzupełniej błędne! Przypatrzmy się takim Klubom w Niemczech; należą do nich w większej części ludzie ciężkiej pracy i mało zasobni. Znamy też historye poszczególnych takich Towarzystw; zaczęły tak jak i my od małego ale ich zapobiegliwość i dobra wiara stworzyła cudy!

Czy my tego potrafić nie możemy? Czy nie zdolni i niegodni bylibyśmy dorównać naszym sąsiadom nawet w tak nietrudnym zakresie działania? Czy nasz indyferentyzm i apatya są tak wszechwładne, że czynią nas niezdolnymi do przedsiębrania jakiegokolwiek czynu? Już sama ambicya nasza powinna tu grać wielką rolę, bo wstyd doprawdy, żeby do dziś dnia w Galicyi jeszcze ani jeden Klub hodowli psów nie istniał. Kraj ten koronny jest pod tym względem od dawna unikatem w Austryi.

Wkładkę 100 względnie 5 koron prosimy przesyłać przekazem pod adresem Gal. Tow. Łowieckiego ul. Mickiewicza l. 5.

Komitet Klubu hodowli i tresury psów rasowych.

Z kraju Arpada.

Linia kolejowa Lwów-Stryj to droga w góry, to główna arterya ruchu myśliwskiego niemal przez cały rok. Linia ta jednak ożywia się tym ruchem szczególnie, podczas rykowiska t. j. od pół września do pierwszych dni października. W tym czasie, stojący o godzinie 8-mej rano na dworcu lwowskim pociąg stryjski, pełnym jest myśliwych. Znajdziesz w nim bracie w św. Hubercie na pewne niejednego miłego ci towarzysza broni, dążącego wraz z tobą do tych drogich nam skał i szczytów. Każdy z nas wiezie broń, mnóstwo pak i węzełków, a na sercu worek, wypełniony nadzieją. Zobaczysz tam jednak i kilku obcych ci zupełnie osobistości, obcych i ubraniem i mową, w kapeluszach, zdobnych wspaniałemi „Gemsbartami i Adlerflaumami“ itp. egzotycznemi trofeami. Obcą ci ich mowa; słyszysz jak między sobą rozmawiają językiem Szyllera lub Szekspira, a co kilka chwil słyszysz wymawiane jakby jakieś sakramentalne słowo „Karpatenhirsz“ lub „Carpathianstag“. To wielcy amatorowie, sportsmeni lub nafciarze „par excellence“ płacący chętnie po 1000 i więcej koron za strzał do naszego górskiego olbrzyma, zwierza, którego chroniły i żywiły nasze lasy i nasze góry, na to, by jak wół tuczony szedł na sprzedaż i stał się łupem jakiegoś zamorskiego gościa, który li tylko mocą swej nabitej kabzy przychodzi do strzału, do trofeu, jaki jest szczytem marzeń łowca. I inne jeszcze myśli, wcale radykalne refleksye wtłaczają się w mózg na widok tych obcych przybyszów, refleksye, którym miejsca na papierze dać trudno, choćby ze względu na naszą staropolską gościnność....

Po dwugodzinnej jeździe, która minęła szybko na rozmowie myśliwskiej z towarzyszem, pociąg staje w Stryju. Dworzec stryjski, to tętno, które najwięcej bije tem gorączkowem życiem. Myśliwi rozbiegają się na wszystkie strony, nowi wsiadają. Perehińsko, Skole, Niebyłów, Wełdzirz, Smorze, to cele drogi, trudów, to źródło urojeń, myśliwskich, pragnień, urzeczywistnień najwybujalszych marzeń i najśmielszych nadziei. Na dworcu Stryja ruch gorączkowy. Nowe spotkania, krótkie uściski dłoni i pierwsze wiązanki nowin z gór. „Dziś rano wracał X. z Y. i wiózł olbrzymiego niedźwiedzia i wieńce szesnastaka“! „Z. zabił 3 czternastaki, a broń mu zawiodła w strzale do niedźwiedzia. Y. przejeżdżał wczoraj tędy z wspaniałą, ubitą przez siebie wilczycą etc.“

Czas wracać do wagonu, pociąg rusza, mijamy powoli inny przybyły dopiero co z przeciwnej strony, mignęło nam coupée, zapchane literalnie całe wieńcami jelenimi. — Pociąg mknie uroczą równiną w stronę Węgier i pierwszy raz zarysowują się przed nami wyraźnie potężne kontury Karpat. Poznaję ostre, buczyną kędzierzawe szczyty Rozhurcza i Lubieniec... Mknie do nich na skrzydłach sokoła myśl moja i ocierając się o nie strząsa z siebie złotych piór kilka... To przeszłości wspomnienia...

Za chwilę wpadamy już w granicę państwa granitów i jodeł, mijamy Lubieńce, a gdy pociąg wybiegnie z tunelu za Synowódzkiem, oczom naszym przedstawia się już widok inny, nowy, prawdziwie górski, dziki; szumią wezbrane potoki górskie i zagłuszają zgrzyt kół pociągu, który z świstem przelatuje mosty lub pnie się jak gąsienica coraz więcej w górę i w górę.

. . . .

Dzięki zaproszeniu p. Aleks. Przedrzymirskiego i uprzejmości hr. Henryka Hoyosa, przepędziłem w tym uroczym rewirze, dzierżawionym przez tych panów od hr. Schön-

borna a w towarzystwie pierwszego z nich dni dwanaście. Rewir to prześliczny, graniczący z jednej strony z Galicyą i Smorżem, z drugiej z niezmierzonymi lasami hr. Schönborna. Niestety w tym roku rozmaite czynniki złożyły się na nasze niepowodzenia i sprawiły, żeśmy obaj z niczem wrócili do domu. Głównym czynnikiem niepowodzenia, był wyrąb w najpiękniejszej części rewiru a w drugim słabe rykowisko, jakie w tym roku wszędzie, nawet nie w Karpatach miało miejsce. Mnie dwa razy uśmiechnęła się fortuna. Ale był to błysk słońca w dzień słotny. Raz wieczorem słyszałem idącego gąszczem jelenia na zrąb, na którym go oczekiwałem, słyszałem już uderzenia rogów na gałęziach tuż przedemną, gdy licho nadniosło jakiegoś przechodnia, który mi go spłoszył, drugim razem rankiem strzelałem do grubego jelenia (najmniej czternastaka) przy słabem jeszcze oświetleniu i przy niemożliwości podejścia go na strzał bliższy, na odległość 300 kroków. Był to strzał niedogodny!! w najniekorzystniejszych warunkach, gdyż jeleń mnie widział, strzał, co się zowie desperacki, krótko mówiąc, było to pudło, na szczęście nie pierwsze i pewnie nie ostatnie w mojem życiu. Sądzę, że nie nadszarpie mi ono zbytnio mej reputacyi, to też go się nie wstydzę, choć nad niem boleję.

Tyle było dla mnie uśmiechu fortuny, i choć skąpo mnie ta pani tym razem obdarzyła swą łaską, dzięki jej i za to. Już samo polowanie w górach ma tyle dla mnie uroku, że zabicie zwierza kładę na plan drugi. Samo krążenie po takim rewirze, śród złomów skał i przepaści z dalekonośnym sztućcem na ramieniu, ma w sobie coś nie zwykle pociągającego, i napawa myśliwego jakąś szlachetną dumą, uczuciem mu gdzieindziej nie znanem, nawet wtedy, gdy ma przed sobą w miocie obtropionego, grubego odyńca. A jeśli kto do tego umie kochać i podziwiać przyrodę, jeśli ma w żyłach choćby odrobinę jakiegoś artystycznego poczucia, ten znajdzie tam tyle nowości, tyle ciekawych szczegółów, tyle nowych mu zupełnie zestawień barw, świateł i cieni, tyle nowych i dziwnych akordów uderzy o jego uszy, a krwiożercze jego zapędy zmaleją do zera.

Czyż jest coś wspanialszego jak poranek w górach? Wśród odwiecznej skargi szumiących jodeł i potoków górskich rozpraszają się ciemności, zmieniając dziwaczne kontury skał, leżących kłód i głazów w malowniczą rzeczywistość. Nakoniec z pod płaszcza różowych mgieł wyłaniają się w ciemny fiolet odziane potężne olbrzymy górskie i kąpią swe szczyty w pierwszych słońca blaskach. A na dole podemną sine morze mgły nie przebitej. Lecz za chwilę wiatr rozgania ją na wsze strony i w dolinie widzisz cichą wioskę, której łono srebrny strumień wężem na dwie części przecina. Gdzieś zdala słyszysz ryk jelenia, pada strzał jeden i drugi, w setnych echach po ścianach górskich się powtarza aż gdzieś w głębokim jarze w szumie strumienia skona.

A to uczucie myśliwskie, że co chwilę spotykam się z najszlachetniejszą na ziemi zwierzyną, że w każdej chwili mogę przyjść do strzału, do króla tych borów i gór, podnosi samopoczucie własnej siły i mocy, i napawa jak już wspomniałem, dumą jakąś szlachetną, uczuciem na dołach zupełnie nieznanem.

Tak to krążyłem wśród tego świata cudów przez dwa tygodni i choć mi danem nie było z pięknym wieńcem jelenim do domu wrócić, to przecież wróciłem wesół, odmłodzony, szczęśliwy i wdzięczny przyjacielowi za tych kilka chwil błogich, jakie z jego łaski przeżyłem.

Chciałbym pomówić jeszcze o ogólnych wrażeniach, jakich doznałem tam jako myśliwy. Rykowisko było w tym roku słabe, a mojem zdaniem będzie ono z roku na rok coraz słabszem, jeżeli właściciele tamtejszych rewirów nie pomyślą w najbliższej przyszłości nad uregulowaniem tam jeleniego zwierzostanu co do płci. Odnoszę szczególnie te słowa do rewirów galicyjskich, a więc do dworskich i gminnych rewirów Smorza. Proszę przeczytać dokładnie znakomitą pracę hr. Sylva Tarouca obecnie w „Łowcu“ drukowaną, i przekonać się do jakiego absurdum się dojść musi wystrzeliwując przez lat dziesiątki tylko łowne jelenie. Dzisiaj stosunek jeleni do łań już jest tam fatalny a jak pójdzie tak dalej, to nie długo nasz olbrzym karpacki będzie tam tylko wspomnieniem. Prawda, że zima i wilki są tu do pewnego stopnia pomocą, jestto jednak środek zbyt nieregularny, nie dający się według woli unormować i zbyt pierwotny i radykalny, a przedewszystkiem nie będący w stanie nawet w przybliżeniu uregulować stosunku płci do siebie. Mogą tylko te wyżej wspomniane dwa elementy co najwyżej oczyszczać zwierzostan ze sztuk słabowitych i chorych.

Jeżeli raz człowiek wkroczył w jakiś rewir i czynność tam rozpoczął jako myśliwy, to także tylko on sam jeden opiekować się nim musi. Przyroda pozbawiona raz swoich praw i przywilejów i zwolniona od swych obowiązków nie chce w niczem już pomódz intruzowi, owszem stara się mu szkodzić. Zrozumieli to już myśliwi w całej kulturalnej Europie.

Po czasie rykowiska następuje czas ochrony jeleni (na Węgrzech 15. października) a zaczyna się odstrzeliwanie nadliczbowych łań i słabych cieląt. Hr. Schönborn odstrzeliwuje rok rocznie na swojem co prawda kolosalnej przestrzeni terytoryum o ile się dowiedziałem 200 łań i cieląt. Wszystkie ustawy łowieckie w Europie wyznaczają miesiąc w roku, w którym ma się odstrzeliwać łanie i cielęta. Gdzie się tego nie robi, gospodaruje się źle po łowiecku i doprowadzić się musi do zwyrodnienia i skarłowacenia gatunku.

W każdym rewirze należy bardzo ściśle odgraniczyć dwa okresy, t. j. okres początkowy, rozmnażania się i okres normalny, kwitnący, i według tego swą gospodarkę prowadzić. O ile bezwzględne chronienie łań w okresie rozmnażania się jest koniecznie wskazanem, o tyle w okresie kwitnącym jest ono stanowczo szkodliwem.

O tem jak wysoko stoi kultura łowiecka w węgierskich dobrach hr. Schönborna miałem się sposobność dowiedzieć od tamtejszego nadleśniczego p. Blotta. Dzielny to myśliwy i znawca swego fachu, to też miło mi było z jego ust usłyszeć słowa uznania dla naszych polskich myśliwych. „Dass wir heute hier so einen schönen Hochwildstand besitzen, haben wir meistens den Herren aus Galizien zu verdanken“, mówił mi p. Blott. Przed 15 laty jeleni tam nie było a tak tam nie znano się na nich, że brano ich tropy za dzicze, i w zimie jako dziki obcinano. Nie ma wątpliwości, że obecny tamtejszy stan jeleni zawdzięcza li tylko dzielnym smorzańskim myśliwym, a więc p. Piegłowskiemu i jego towarzyszom swe istnienie. Oni to z bezdusznej puszczy zrobili to dzisiejsze myśliwskie Eldorado. Od nich w dalszym ciągu i od zarządu fundacyi skarbkowskiej, zależy utrzymanie świetności tych rewirów, a to druga i trudniejsza połowa zadania.

Ucichły już nasze góry, ostatnie echo ryku królewskiego zwierza skonało gdzieś w bezdennym parowie, ostatnie echo strzału rozpłynęło się w mgłach otulających

puchowym płaszczem połoniny i szczyty. Śnieg ubrał je już na zimę futrem z białego baranka.

Smutek tam i cisza. A jednak z mych okien widzę te cudowne olbrzymy górskie i tęskna myśl gołębiem do nich leci i błądzi wspomnieniem śród tych skał i parowów, bo tam tylko można znaleść myśliwską rozkosz i upojenie.

W naszych górach znów padły setki jeleni, niejeden niedźwiedź rozścielił myśliwemu swe kudły pod nogi, niejeden wilk i ryś zapłaciły skórą własną za niefortunne z myśliwym spotkanie. Ciekawym, czy się co o tem w „Łowcu“ dowiemy.

Toż to nasze myśliwskie wszystko, nasza duma! Takiemi trofeami nie pochwalą się żadne Wild und Hundy, Waidmansheile i Shootingtimesy, a mimo tego nasz „Łowiec“, który jeden jedyny w Europie tem wszystkiem pochwalić się jest w stanie, po rykowisku jak zwykle smutny i pusty.

Albert Mniszek.

Międzynarodowa wystawa myśliwska w Wiedniu
w roku 1905.

Z okazyi kończącego się w r. 1907 sześćdziesięciolecia panowania cesarza Franciszka Józefa, powzięli dolnoaustryaccy myśliwi myśl urządzenia w owym roku wystawy myśliwskiej w wielkim stylu. Będzie to hołd oddany najdostojniejszemu myśliwemu przez wszystkich myśliwych, mieszkających w Austryi. Ma się rozumieć, że w tym celu urządzona wystawa, rokuje wszelkie nadzieje powodzenia. Podczas ostatniej kadencyi sejmu dolno-austryackiego, postawił wniosek deputowany dr. Weiskirchner, o udzielenie komitetowi wystawowemu subwencyi w kwocie 100.000 koron, z funduszów krajowych.

Wystawa ta obejmować będzie nie tylko dziedzinę łowiectwa w ścisłem znaczeniu, lecz włączone w nie zostaną sztuka i przemysł z myślistwem w związku będące, a więc malowidło i rzeźba, fabrykacya broni i przyrządów myśliwskich, automobilizm i gospodarstwo leśne i rolne. Wystawa nadto uwydatniać będzie historyę rozwoju łowiectwa u wszystkich ludów i szczepów od najdawniejszych czasów po dni dzisiejsze.

Wystawa projektowana będzie więc wszechświatową, pierwszą w swoim rodzaju i jako taka budzi już dzisiaj wielkie zainteresowanie w świecie myśliwskim i sportowym. Słusznie też przepowiadają, że będzie to jedna z najświetniejszych wystaw, jakie oglądał Wiedeń w swych murach. Ameryka, Kanada, Niemcy, Anglia, Francya, Włochy, Rosya, Szwecya i Norwegia zgłosiły już swe udziały. Prezydent Roosewelt, jeden z najznakomitszych myśliwych w świecie obiecał najgorętsze poparcie, dla tego bądź co bądź olbrzymiego przedsięwzięcia. Przedwstępnemi przygotowaniami zajmuje się prowizoryczny komitet pod przewodnictwem ks. Henryka Lichtensteina i hr. Colloredo.

Wystawa odbędzie się w Praterze, a mianowicie w rotundzie i na okalającym ją terenie. Pojedyncze państwa wystawią swe własne historyczne zamki myśliwskie, jak n. p. Francya zbuduje podobiznę słynnego zameczku myśliwskiego Ludwika XIV, Préfont. Osobny dział przedstawi historyę myśliwstwa. Pewne towarzystwo angielskie będzie dawało olbrzymie dioramowe przedstawienia polowań w krajach tropikalnych. Równocześnie urządzone zostaną światowe konkursy, jak strzelanie do stałych i ruchomych tarcz, wyścigi automobilowe ect.

My myśliwi polscy, również przy tej sposobności powinniśmy złożyć nasz hołd sędziwemu i dostojnemu myśliwemu, powinniśmy się postarać o osobny pawilon na projektowanej wystawie. Mamy czem go zapełnić i mamy czem się pochwalić. Obawiać się nie potrzebujemy, by nasze zbiory wieńców jelenich, rogów sarnich i kłów dziczych., ubitych niedźwiedzi, rysiów, żbików, wilków ect., tworzyły szary ogon wszechświatowego myślistwa. Nasze trofea zajmą w tym świetnym konkursie z pewnością poczestne miejsce i chlubnie świadczyć będą o naszem łowiectwie.

Albert Mniszek.

Sprawozdanie delegatów.

W Nadwórnie 26-go października 1905.

Rezultat polowań na jelenie w rewirach powiatu Nadwórniańskiego, jest następujący: Najwięcej jeleni padło w lasach Worochty, Tartarowa i Zielonej. Najgorzej zaś dopisała Rafajłowa. Polował tam przez 7 dni arcyksiąże Otto i nie przyszedł nawet do strzału, a jedyny jego towarzysz następca tronu Würtemberskiego ks. Albrecht ubił w tym czasie jednego tylko słabego dwunastaka.

Po ich odjeździe padł tam jeszcze jeden ładny czternastak od strzału p. Woliczki, łowczego arcyksięcia Ottona i silny dwunastak, od strzału zarządcy dóbr i lasów pana Gepperta. Jelenie zachowywały się podczas rykowiska wprost nie normalnie, bo prawie zupełnie nie ryczały a tylko tu i ówdzie zgłaszał się i to bardzo rzadko zwierz ten lekkiem pomrukiwaniem, tak, iż trudno było niezmiernie spotkać godnego strzału byka. Przyczyną tego był przedewszystkiem fatalny stan powietrza. Od 16-go bowiem września, kiedy w ogóle rozpoczęto tu polować aż do 28-go września było zanadto ciepło i pogodnie, następnie do 4-go października były burze, a potem do 12-go października śnieg i wiatr. Dalszą zaś przyczyną tego milczenia, jest za wielka ilość łań. Mimo to padło w Zielonej 16 a w Worochcie i Tartarowie po 7 byków, czyli razem, w rewirach dzierżawionych przez księcia Henryka Lichtensteina 30 jeleni. Gośćmi jego byli: ks. Jan II Lichtenstein, ks. Don Miguel Braganza i jego żona Teresa, książę Teck z Londynu, ks. Alba z Madrytu, ks. Demidow San Donato, ks. Karol Kinsky, ks. Alojzy Löwenstein, ks. Franciszek Lichtenstein, hr. Hoyos Ernest, malarz Rudolf Pick i trudniący się wypychaniem zwierząt Edward Hodek z Wiednia. Najpiękniejsze wieńce dostały się w udziale ks. Löwensteinowi, który ubił 24-go września w Worochcie ośmnastaka ważącego 246 kl. Zresztą padło 6 — 14-staków, 9 — 12-staków, 6 — 10-taków, 7 — 8-maków i jeden szóstak. Wieńce były przeważnie słabe, czego naturalnie jedynym powodem jest jak sądzę, błędna reguła, odstrzeliwania tylko najkapitalniejszych jeleni a to w ilości jak się da największej. Tych olbrzymów karpackich już tutaj nie ma a jedynie pamiątki po nich w formie ogromnie długich i ślicznie rozwiniętych wieńców, zdobią mieszkania

i muzea. Także wskutek zbyt wielkiej ilości łań następuje tego rodzaju degeneracya, że młodzież co do wieńców karłowacieje. To też w doskonale przez p. Wintera utrzymywanych rewirach, ks. Lichtensteina odstrzelono dotąd już 80 łań.

Podczas rykowiska polował ze świetnym rezultatem w Ługu i Lubinie p. Götz i hr. Sumiński. Pierwszy z nich ubił 5, między nimi ślicznego 14-staka, a drugi 2 byki. W Pasiecznej padły z ręki hr. Hoyosa 3 jelenie.

W innych rewirach, jak w Strahorze i Delatynie, nie osiągnięto żadnych pomyślnych rezultatów, natomiast tuż pod Nadwórną w Nazawizowie ubił p. Simonowicz ósmaka a przed nagonką w Majdanie średnim p. Frommer 10-taka.

W rewirach ks. Henryka Lichtensteina, to jest w Worochcie, Tartarowie i Zielonej, ubito dotąd wogóle w roku 1905:

Jeleni 30, rogaczy 4, głuszców 5, dzików 14, rysi 3, żbika 1 (złowiono żywego), 6 wilków młodych (3 złapano żywe), 2 stare wilki, wyder 4, kun 21, lisów 7, łasic 9, tchórzów 9, psów 6, orłów 1, jastrzębi 6, a nadto 326 wron, srok etc. Są to najpiękniejsze rewiry na grubą zwierzynę w powiecie Nadwórniańskim, lepsze obecnie od Rafajłowy, tej kolebki jeleni. Jest w nich dla jeleni 807 lizawek a dla myśliwych 3 duże domy mieszkalne, 67 chałup i 68 kolib.

Władysław Marek
Delegat Tow. łow. w Nadwórnie.

Z obcych światów.

TEODOR ROOSEVELT.

Łowy w amerykańskiej puszczy.

(W wyjątkach).

(Ciąg dalszy).

Po całodziennej wędrówce lasem, rozłożyliśmy obóz u górnego jego brzegu, u podnóża stromych ścian skalnych. Wybraliśmy zakryte miejsce, gdzie małe świerki stały gęsto przy sobie; było tam wiele suchych drzew a ponieważ pniaki były wprawdzie długie, lecz nie zbyt grube, naściągaliśmy ich tyle, że można było ogień podsycać przez noc.

Napiwszy się do woli ze strumyka, wycięliśmy dwa widełkowate pręty wierzbiny, każdy z nas oskubał po kurze, wypatroszył, nadział na widły i spiekł przy ogniu.

Oprócz tego mieliśmy jeszcze sól i chleb i gdy przytem byliśmy wygłodzeni i strasznie zmęczeni, wydawała nam się wieczerza wyborną i była nią rzeczywiście. Potem podwinęliśmy kołnierze naszych kurtek i położyliśmy się, by przepędzić noc z kilkakrotną przerwą; każdym razem gdy ogień przygasał, budziło nas zimno, więc zrywaliśmy sie, by dołożyć świeżego paliwa. Ze świtem wstaliśmy, upiekli i spożyli pozostałe dwie kury. Potem ruszyliśmy w góry i zużyliśmy jeden dzień na wspinanie się po skalistych wierzchołkach, wśród wielkich wysiłków.

Chodzenie po górach jest mozolną pracą.

Gdyśmy się zbliżali do szczytu, w którego szczelinach śnieg leżał, musiałem wskutek rozrzedzonego powietrza przystawać co kilkaset metrów, by zaczerpnąć tchu.

Ujrzeliśmy liczne tropy białych kóz, lecz mimo ustawicznego podchodzenia i nieustannego, troskliwego przetrząsania skał, zobaczyliśmy zwierzynę dopiero nazajutrz rano.

Wspięliśmy się na stok stromego, z nagich skał składającego się grzbietu górskiego; niektóre jego kanty były tak ostre, że wspinanie się było bardzo uciążliwe a nawet niebezpieczne.

Począwszy od wierzchołka góry przeszukaliśmy jak najstaranniej sąsiednie szczyty skalne, lecz nie spotkaliśmy zwierzyny i zaczęliśmy spuszczać się z przeciwnej strony.

Góra kończyła się rzędem niskich pagórków, z których musieliśmy schodzić wśród największej ostrożności.

Gdyśmy wstępowali z kanta na kant, trzymał jeden obie strzelby i podawał je drugiemu, gdy już pewnie stanął na gruncie.

W wielu miejscach musieliśmy przechodzić szczeliną utworzoną przez pęknięcie skały w skutek mrozu.

W końcu gdyśmy doszli do niskiego, wystającego brzegu skalnego, zawołał mój towarzysz: „Patrz oto białe kozy“! Potrzebowałem kilku chwil, by je odszukać.

Spoglądaliśmy na dół, na dolinę kociołkowatą, otoczoną wysokimi łańcuchami gór.

Na jednym końcu kotła było niskie przejście, tam wyżłobiły się w skale zygzakowate ścieżki mnogich rudlów zwierzyny, której niezliczone generacye tamtędy wędrowały.

Na drugim końcu otwierał się ciemny wąwóz, którym przepływał spieniony potok.

Dno kotła pokrywała szmaragdowa, błyszcząca zieleń, którą w miejscach, gdzie rosły świerki, przerzynały ciemniejsze pręgi a w środku było małe jeziorko. W końcu wypatrzyłem kozę, która pasła się na tarasie, więcej niż 120 metrów podemną.

Strzeliłem natychmiast ale zgórowałem; koza dała parę susów i przystanęła.

Drugą kulę wpakowałem jej w łopatkę, bojąc się atoli, by nie umknęła w jaką niedostępną szczelinę lub pod ząb skalny, wystrzeliłem raz jeszcze i drugi i zgruchotałem jej kręgosłup.

Padła na ziemię i w pierwszej chwili zaczęła się staczać z jednego zrębu na drugi.

Obawiałem się, by nie nadłamała sobie rogów. Nieprzyjemność taka zdarza się często, gdy białe kozy strzela się na terenie, skąd ugodzona zwierzyna spada z wysokości kilkuset stóp, tak, że ostre brzegi skalne rozszarpią ją na szczątki.

Lecz moja koza, zaczepiwszy się o małą karłowatą jodłę, pozostała nienaruszona. Po daniu przezemnie czwartego strzału, zawołał mój towarzysz:

Patrz, białe kozy!

Powiódłszy oczyma we wskazanym kierunku, spostrzegłem szybko jeszcze cztery kozy, które w odległości nie całych 100 metrów, stały obok siebie na jednem miejscu, w bok od pierwszej linii mych strzałów.

Wszystkie one patrzyły na mnie. Stały na białym złomie skalnym, z którego barwą harmonizowały ich sukienki a czarne ich rogi, pyski, ślipia i racice występowały jak czarne plamy na jasnem tle, tak że musiałem kilkakrotnie spojrzeć, by dobrze zobaczyć, co miałem przed sobą. Gdy się zaatakuje białe kozy, uciekają zawsze w górę; trzymając się tej zasady, że mogą uniknąć niebezpieczeń-

stwa, tylko wówczas, gdy je w dole, za sobą pozostawią, gdyż wrogo usposobione dla nich zwierzęta mogą je prześcignąć na płaszczyźnie, w kańczastych skałach natomiast są wobec nich zupełnie bezsilne.

Prawie w tej samej chwili w której zobaczyłem kozy, pognały cztery z nich na górę, prawie wprost na mnie, podczas gdy ja ukośnie schodziłem w dół by się z niemi spotkać. U podnóża zatrzymały się a ja przystanąłam w górze na szczycie, gdyż ich widzieć nie mogłem; ale po minucie wydostały się na prostopadłe skały, nie posługując się jednak szybkim biegiem, lecz raczej w miejscach na pozór najwięcej niedostępnych, siłą i zręcznością.

Gdy przechodziły odemnie w odległości 30 metrów, strzeliłem dwa razy do ostatniej, starego kozła, trochę mniejszego od tego, którego właśnie położyłem. Bez życia stoczył się z góry. Dwie drugie, spiczak i koza okazały się więcej trwożliwe od rodziców i umknęły uciekając szybko.

Ostatnia sztuka, stara koza, pokłusowała około stu metrów, lecz zatrzymała się ostrożnie, odwróciła i patrzyła na nas kilka minut.

Gdyśmy sprawili oba kozły i odcięli im łby, ruszyliśmy pospiesznie, zeszli ze stoku góry i przeszli przesmyk ścieżkami porobionemi przez zwierzynę, było bowiem późno a chcieliśmy przed zapadnięciem nocy dobić się do leżącego u stóp góry, lasu.

W drodze zaszybował nad uszami orzeł, do którego strzeliłem dwa razy, lecz oba razy spudłowałem.

Ubiwszy raz orła w locie, karmię się skrytą nadzieją, że mistrzowski ten występ uda mi się od czasu do czasu powtórzyć. Za pudło zemściłem się gdyż ubiłem dużego siwego jastrzębia, który napchawszy się zajączkami i kurkami rozsiadł się w gnuśnej bezczynności na wierzchołku uschłego świerka.

Po kilkugodzinnym, forsownym marszu znaleźliśmy się w lesie; jeszcze przed zmrokiem doszliśmy do miejsca nad brzegiem rzeki, odpowiedniego na obóz, ze względu na drzewa, pod którym było dużo suchych drew na paliwo.

Miejsce to nastręczyło nam szczęśliwym sposobem wieczerzę, zjawiło się bowiem stado kur leśnych, z których ubiliśmy dwie sztuki.

Zimno budziło nas ciągle; ciągle musieliśmy wstawać i podniecać ogień.

Wcześnie rano wyruszyliśmy znowu, idąc po świeżych tropach, wyciśniętych przez liczny rudel wapitich, samice i cielęta.

Zdawało się nam, że znaliśmy dokładnie położenie doliny, w której znajdowaliśmy się i wyjście z niej, że zatem mogliśmy podać, gdzie nasz obóz leżał, omyliliśmy się jednak, jak to się często zdarza w puszczy, przekroczyliśmy o jeden brzeg góry za dużo i dostaliśmy się w wąwozy zupełnie innego ustroju rzecznego.

Wskutek tego zaplątaliśmy się w chaos pagórków i dolin i zakreślaliśmy koło po kole, by odnaleźć napowrót kierunek, lecz dopiero po 12 godzinnem błąkaniu się — nic przez ten czas nie mając w ustach — dobiliśmy do obozu.

Przy innej sposobności, zastrzeliłem kozę w dziwnie charakterystycznej pozycyi.

Polowałem raz ze starym myśliwym, wspinającym się świetnie po górach, jako jedynym towarzyszem w wysokich górach Kootenai, w pobliżu granicy Montany i brytyjskiej Kolumbii.

Opuściwszy rozbity nad brzegiem rzeki obóz, przesuwaliśmy się z trudem przez gęsty las i strome góry; na barkach nieśliśmy lekkie węzełki z naszych koców, zawierające trochę pożywienia i niezbędne przedmioty. Jednego dnia dotarliśmy do podnóża wielkiego łańcucha nagich skał i wśród największego natężenia, skała po skale, jakkolwiek niektóre były prawie pionowe, wspięliśmy się na grzbiet.

Obeszliśmy niektóre zęby skalne, przebyliśmy sami napowrót głęboką przepaść, przyczepialiśmy się często, do spadzistych, gładkich ścian skalnych, na których zaledwie mogliśmy się utrzymać i wreszcie dostaliśmy się na szczyt.

Wspinanie się na taką wysokość było nadzwyczajnie nużące; miejscami bardzo trudne a nawet niebezpieczne.

Pomimo to wycieczki tej nie można było porównać ze wspinaniem się po sterczących wysoko, lodowcami pokrytych szczytach skalnych np. w Selkirkach, lub w Alasce, gdzie wspinający wiążą się razem powrozem i biorą siekiery do rąbania lodu.

Znalazłszy się na górze, stąpaliśmy bardzo ostrożnie, chyłkiem, by nie dać się widzieć; przyczem przepatrywaliśmy stoki górskie za pomocą szkieł.

W końcu ujrzeliśmy trzy kozy, pasące się na wązkiej, trawą porosłej terasie, która pochylała się ku brzegowi stromej ściany skalnej.

Nie były od nas zbyt daleko, a ponad niemi sterczał mały kant skalny, który umożliwiał podchodzenie, lecz musieliśmy pełzać bardzo powoli, raz aby nie upaść, powtóre, by nie strącić kamieni, tak że prawie po godzinie dopiero znaleźliśmy się w korzystnem miejscu nad kozami.

Ze zwietrzałych wskutek mrozu skał, w których kozy przebywają, spada zawsze grad kamieni, tak że kozy o ten hałas nie szczególnie się troszczą, lecz czasami zauważają go, zwłaszcza jeżeli się powtarza.

Spoglądając ponad niski kant i wysunąwszy strzelbę ostrożnie naprzód, zauważyłem, że nasycone już kozy zamierzały pochyłość opuścić.

Nagle dojrzał mię tęgi kozieł, widocznie jednak nie mógł mnie dokładnie rozpoznać. Uważnie wytrzeszczając na mnie świece, podniósł się ruchem pełnym godności i usiadł przybrawszy prawie taką pozycyę, jaką przybierają psy, gdy służą.

Po mym strzale, zrulował, zsunął się z trawiastej pochyłości i runął na brzeg otchłani, podczas gdy kozica i koźlę ze strachu przystanęły na chwilę, poczem odurzone skoczyły we fałszywym kierunku i wbiegły na kamieniste łożysko potoku, gdzie znikły. Gdy w końcu po długiem, uciążliwem wspinaniu się znalazłem nieżywego kozła na dnie przepaści, skonstatowałem, że oba rogi miał złamane. Późno po południu schodziliśmy ku małemu bagnistemu gorżkiemu jezioru, do którego doszliśmy mniej więcej po godzinie.

Przed zachodem słońca rozbiliśmy namiot wśród zmarniałych świerków, które dostarczyły nam obficie suchego paliwa. Wiele tropów białych kóz wiodło ku jezioru a z otaczających skał dochodził nas przeraźliwy świst szarych świstaków i pełne skargi tony małych królików — odgłosy dobrze znane myśliwym, polującym na białe kozy. — Króliki te nagromadziły kupki uschłych roślin i przechowały je starannie w szczelinach skalnych.

Korespondencye.

Wiluń 21. października 1905.

Dnia 19. b. m. odbyło się polowanie zaimprowizowane przez Pana marszałka dr. Mikołaja hr. Reya w dobrach Jego matki Pani Vilmy hr. Reyowej w Psarach, w pięć strzelb rozmaicie złożonych, — polowano zaledwie 6 godzin — a że chodziło głównie o bażanty — więc ubito stosunkowo mało innej zwierzyny. Padło 27 zajęcy, 1 lis, 4 bażanty, 2 rogacze — ponadto strzelano do bardzo dużego rogacza śrótem niestety Nr. 12. bez widocznego rezultatu — nie mniej padł jeden strzał do słonki — sąsiad jednakże twierdził, że to była sowa uralska — a że nie odszukano tego postrzałka — więc kwestya rozstrzygniętą nie została. — Stan zwierzyny jest bardzo pomyślny — sarny były w każdym miocie widziane — zajęcy jest więcej, niż roku zeszłego — a bażantów bardzo dużo — widzieliśmy jednego bażanta srokacza z zupełnie białą głową — ale uszedł szczęśliwie, może do następnego polowania — straż lasowa utrzymuje, że jest jeden bażant całkiem biały. Bażanty prowadzi się tu dziko — z bardzo dobrem powodzeniem. Słonek widzieliśmy kilka — pokazują się również kuropatwy, których dawniej tu nie było.

Czytam w „Łowcu" utyskiwania, że mimo tak licznej drużyny św. Huberta — wydarzenia myśliwskie — albo wcale nie, albo skąpo są podawane do wiadomości, — do podanych przypuszczalnie powodów — dodałbym jeszcze jeden i czy też może, nie najważniejszy, a mianowicie: w kronikach o św. Hubercie nigdzie nie znajduję (oczywiście z dawnych czasów) wzmianki, o podatku — osobisto-dochodowym... który dla P. P. Delegatów może mieć bardzo poważne powody wstrzemięźliwości; albowiem dobrze znany każdemu — „wścibski organ", mógłby, nie bardzo pożądane konsekwencye, wskutek wielomówstwa wyciągnąć — i zaaplikować bez regresu — właścicielowi polowania; a przeciwko temu jak wyżej powiedziałem, apelacya jest prawie zawsze wątpliwą. *Agenor Łobodziński.*

Turczynów koło Załoziec 22, października 1905.

W dniach 12., 13. i 14. października br. odbyły się polowania w lasach pieniackich — pierwszym dniu strzelb 6, w ostatnich dwóch dniach strzelb 10.

Na rozkładzie było dzików 2, kozłów 6, lisów 30, zajęcy 16, słonek 12 i kuropatwa 1.

Rezultat jak na wspaniałą knieję Pieniacką prawie że zły — ale też pogoda więcej niż nieznośna przez wszystkie trzy dni trapiła myśliwych — bo nie jesienny zwykły kapuśniaczek, ale silny deszcz lał przez cały czas, oczywiście z wyjątkiem nocy, które były ładne.

Słonek niestety było mało, a i te nie porywały przed nagonką.

Polowania w Pieniakach przypomniały mi żywo, polowania z dawniejszych czasów, gdzie to nie chodziło o mnogość ubicia zwierzyny, szczególniej zajączków, a więcej o jakość zwierza i rzeczywiście większą przyjemnością dla myśliwego mieć na rozkładzie dzika, kilka lisów i słonek, aniżeli kilkadziesiąt zajęcy.

Tutaj brakło nam i to bardzo słonek — no i pogody — a jakże inaczej przedstawiłby się rozkład.

Trzylufki oddały tu znakomite usługi. O stosunkach łowieckich tutejszej okolicy napiszę do następnego numeru „Łowca". *Władysław Wiśniowski.*

Stulsko, 21. października 1905.

Szanuję i poważam każdy zawód uczciwy, największy jednak respekt mam przed adwokatem. Niechaj Pp. obrońcy w sprawach karnych i niekarnych nie wzruszają z politowaniem ramionami nad powyższą sentencyą, a tembardziej niech się nie obrażają, lecz adwokata nie usiłującego obrócić §§. ustaw do góry nogami, obejść ich naokoło, nie zaczepiając ani o jedną tychże literę, — wyobrazić sobie nie mogę. Że tak jest istotnie, każdy przyzna mi racyę. Nie jest to winą adwokatów zapewne, że muszą kroczyć po krętej linii oznaczającej nam na papierze paragraf, — winić tu należy jedynie ustawodawstwo.

Ustawa jako wynik długich rozumowań głów do tego ukwalifikowanych powinna według mego prostego myślenia być taką, by jej żaden adwokat na niesłuszną korzyść klienta użyć nie potrafił. Ustawa powinna przewidzieć wszystkie ewentualności i orzekać wyraźnie: kto zabił — ma wisieć, kto ukradł ma siedzieć, komu należy się spadek — niech — go zażywa w spokoju, — lecz nie powinna pozwalać na nicowanie swych wnętrzności t. j. paragrafów. To sprzeciwia się pojęciom słuszności i naturze, a co naturze przeciwne, to niezdrowe, a co niezdrowe, to przyczynia się do upadku pojedynczych osobników a w następstwie całego społeczeństwa!

Refleksyami temi natchnęła mię po części nasza ustawa łowiecka.

Paragraf 36 ustawy orzeka, że sprzedaż zwierzyny odbywać się może tylko na mocy świadectwa pochodzenia zwierzyny, przy podaniu jej gatunku i ilości. Zdawałoby się, że jesteśmy tutaj w zupełnym porządku i nic nam więcej do życzenia nie pozostaje. Tymczasem niestety ile tutaj różnych sztuczek można wypłatać, a do tego nie potrzeba żadnych głębokich myślicieli!

Mam tutaj niedaleko żyda handlarza, typ prawdziwego „Christusmördera" (proszę wybaczyć germanizm!) Handluje bydłem, zbożem, skórami, sprzedaje zgniłe jaja, ot, co Bóg dał, a głupi chłop tanio sprzeda. Głównem atoli zajęciem Szlomy jest handel zwierzyną i to na szerszą skalę. Spotkać u niego można nieraz po kilkadziesiąt rogaczy, zajęcy, kuropatw i t. d. nawet przed „dzikima" nie czuje respektu, niepomny na zakaz Mojżesza, — ot co Bóg dał, a kłusownik za parę dziesiątaków mu przyniósł.

Nie tracę nadziei przyłapania go na nieprawnym handlu i oddania go na pewien czas do iwanowej chaty, lecz dotąd usiłowania moje spełzły na niczem. Szloma ma na zawołanie świadectwo pochodzenia zwierzyny, zwierzynę bowiem prawnie kupuje i gotów się obrazić za inne twierdzenie. Tak, kupuje, bez kwestyi, tylko ile kupuje w sposób prawnie dozwolony a ile od kłusowników, o tem tylko on jeden wie. Nie odmawiam Szlomie przezorności, gdyż ilość zwierzyny w jego składzie nie przewyższa nigdy liczby wyrażonej na certyfikacie.

Skąd jednak można wiedzieć, czy ta rzeczywiście pochodzi od właściciela polowania zamaszyście podpisanego na świadectwie? Tutaj tkwi cały błąd ustawy, — oto jej pięta Achillesa! Tak dalej być nie powinno, jeżeli nie mamy uważać ustawy za parodyę, jeżeli pragniemy zapobiedz szerzącemu się coraz więcej kłusownictwu! Ustawa nasza kłusownika karze, lecz daje mu pośrednio sama sposób kupczenia kradzioną, zwierzyną, nie przewiduje bowiem iż na podstawie jednego i tego samego certyfikatu handlarz miesiącami całymi handlować może zwłaszcza w zi-

mie, gdy mięso w skutek mrozów od rozkładu na długo jest zabezpieczone.

Jeden jest sposób możliwy, jeśli już nie do zupełnego usunięcia to przynajmniej do zmniejszenia nadużyć, a tym jest znaczenie czyli t. z. plombowanie zwierzyny przez władze czy też przez uprawnionego właściciela polowania, podpisanego na certyfikacie tak, jak to ma miejsce przy plombowaniu mięsa w jatkach przez weterynarzy. Plombę taką powinien każdy właściciel polowania posiadać i ustawa łowiecka powinna posiadanie plomby nakazać.

Plomba powinna mieć czytelny napis danej miejscowości, skąd zwierzyna pochodzi i inicyały właściciela, a nabycie jej mogłoby się odbywać tylko w drodze urzędowej przez Starostwo. Koszt takiego instrumentu nie byłby znaczny, a Starostwom wiele pracy nie przysporzy.

Przez Starostwa nabywamy druki na paszporty dla bydła, na wykazy statystyczne, setki arkuszy drukowanych ustaw i t. p. jedna więc maszynka do plomb więcej, nie zajmie wiele czasu. Starostwa z nią, czy bez niej zawsze będą pracą przeciążone!

Przypuszczam, że wywody moje nie uczynią mnie Kolumbem ani Szwarcem, możliwe, że niejednemu interesującemu się łowiectwem przychodziły na myśl podobne sprawy, nie widząc jednak dotąd skutecznych usiłowań o zmianę §. 36 ustawy łowieckiej, proszę Szanowną Redakcyę o powtórzenie tych paru zdań w swojem piśmie a błogosławić będę chwilę, która natchnie naszych wpływowych i wysoko postawionych Nemrodów do zajęcia się tą sprawą.

Podnosić łowiectwo nasze racyonalną hodowlą zwierzyny, a jednocześnie dawać kłusownikowi pośrednio broń do ręki i sposób kupczenia kradzioną zwierzyną, to nie doprowadzi nas do celu. W naszej przecież mocy o dobrą ustawę się postarać, wszak mamy na to sposoby! Starajmy się więc o nią, szturmujmy, gdzie należy, byśmy kiedyś gdy nasi pejsaci „myśliwcy“ zanadto się rozwielmożnią i trudniej nam być może zmienić niefortunne paragrafy, nie potrzebywali sobie powiedzieć: „miałeś czapkę z piór, ostał ci się tylko sznur!“.

Jan Szałajdewicz
delegat gal. Tow. łow.

Lwów 28. października 1905.

Przed paru dniami polowałem w Olejowie u hrabiego Aleksandra Wodzickiego, gdzie w trzech laskach jest zaprowadzony dziki chów bażantów.

Otóż w jednym miocie zaledwie pogonka zaczęła gonić, stałem na stanowisku w podniosłym drzewostanie ze słabem podszyciem, tak że widziałem w miot na 40 kroków. Przed mojem stanowiskiem było małe zagłębienie zarosłe zwykłą pokrzywą.

Słyszę w miocie odzywanie się koguta, a w chwilę widzę uciekającego z miotu w całym pędzie koguta — który dopadłszy pokrzywy w niej przywarował, a za nim pełzającego, jak legawca lisa — który tak był zajęty polowaniem, że mnie stojącego na linii nie widział.

Dopełzał do zagłębienia, a gdy chciał skoczyć na bażanta, strzał mój zepsuł mu całą zabawkę — lis strzelony śrótem Nr. 10 zaczął się przewracać, bażanta, który mnie ponad głową przeleciał nie strzelałem z obawy, aby lis nie powlókł się w krzaki — posłałem mu drugi nabój, a ta druga doza lekarstwa, wykurowała go gruntownie od łapania bażantów na wieki. Jak lisy się ściągają do bażantów, dowód że w Olejowie, gdzie tępią pilnie lisy, jastrzębie, zabiliśmy w dwóch dniach 6 lisów. Jak w wielu miejscach tak i w Olejowie sławnym dawniej z obfitości słonek, tej jesieni ich nie było, ruszyliśmy dwie.

Teofil Żurowski.

B a t i a t y c z e, dnia 22. października 1905.

Śnieg grubą warstwą zaścielił pola, a w duszy każdego myśliwego błysła myśl — ponowa! ale równocześnie kopce z kartoflami nie nakryte i t. p. smutne myśli, z któremi chcę się podzielić by się później nie okazało żeśmy spali.

Ustawa łowiecka prawda ładnie stylizowana, paragrafy jasne jak słońce, ale jako stary ułan nigdy z nimi w zgodzie nie byłem, zawsze bowiem w myśl takiego jasnego paragrafu przesiedziałem w kozie a teraz zamieniwszy szablę na lemiesz znów się pogodzić nie mogę choćby jako delegat łowiecki co chciałby coś zrobić, nie robi nic a narzeka zawsze za trzech, jak to mówią.

Te same myśli nasunął mi współudział przy odbytych licytacyach polowań gminnych w Starostwie w Żółkwi gdzie mimo całej energii prowadzącego licytacyę urzędnika wprost było się narażonym na pogróżki i dowcipy różnorodnych licytantów, a mam dowód na sobie samym przy licytacyi polowania Rożanki gdzie całe towarzystwo i to z innego powiatu odgrażało się słowami „No, tego hulania już nie długo będzie“. Nie wiem co te słowa znaczyć miały czy to aluzya do mojej pustej kieszeni po dwuletnich klęskach, czy do mojej osoby choć się czuję chwała Bogu jako tako i nie daję powodów do obaw moim serdecznym.

Odszedłem jednak od rzeczy, zatem ad rem: W gminach zaczynają nurtować agitacye by same licytowały prawo polowania. Gdyby te agitacye przybrały szersze rozmiary konkurencyi tego rodzaju nie wytrzymamy, gmina bowiem może wypędzić do wysokiej ceny bo de facto pieniędzy nieda a jeźli chwilowo zmuszoną dać będzie dostanie je napowrót w myśl ustawy. Na co się zdały wobec tego faktu nasze zabiegi, praca, koszta, by podnieść stan zwierzostanu. Licytacye tego roku przybrały niebywałe rozmiary i podniosły się w cenie dziesięciokrotnie. Ja sam zapłaciłem za polowanie Rożanki kolonii czeskiej za kilkaset morgów graniczących z moim lasem dziesięć razy więcej jak mój poprzednik! — a co będzie dalej? To pytanie stawiam, może ktoś z więcej fachowych rozjaśni tę kwestyę, a i sąsiadów moich spotkał ten sam los gdy ratowali znacznym kosztem własną zwierzynę od zagłady bo chyba innego celu nie mamy, znaną bowiem jest rzeczą, że na włościańskich polach wobec całorocznego hałasu, paszenia bydła, pastuchów, psów za każdym pługiem i wozem a więc szkodników, których upilnować nie można — nic nie ma.

Może ja się mylę, może i ustawy nie rozumiem, powoduje mną tylko troska przyszłości.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Olejów w październiku 1905.

Ponieważ przeszłego roku nie podniosłem trzech jeleni dobrze trafionych, a strzelonych z expresa 450 cal. a chybiłem dwa jelenie strzelone z Schönauera, który dla mnie jest najsympatyczniejszą bronią i nadzwyczajnie składną, obmyślałem z dyrektorem warsztatów pana Dzikowskiego p. Tabaczkowskim inną broń, którą każdemu polecam. Jestto double-express Manlicher 9 m/m przyjmujący

3 gramy prochu bezdymnego, waży tylko $3^{1}/_{2}$ klgr. Strzelałem do jeleni dwoma rodzajami kul. — Pierwsze z małą bardzo expanzyą, całe pokryte stalowym płaszczem, a drugie pełne, cięte płasko, do trzech ćwierci swej długości otoczone stalowym pancerzem. Do pierwszego jelenia strzeliłem na 143 kroków, trafiłem go całkiem miękko, kula choć expanzywna cała stalowa przeszła na wylot, nie naruszywszy ani płuc, ani wątroby nawet, pomimo tego jeleń, powlókł się tylko 10 kroków utykając przodem. Rozbierając tego jelenia przekonałem się, że kula przeszła przez żołądek i sprawiła tylko ogromne przekrwienie wewnętrzne, tak, że w jamie brzusznej, najmniej 3—5 garncy krwi wylać trzeba było przy patroszeniu. Kula żadnych organicznych narzędzi nie naruszyła, tak, że nawet w pysku żadna farba się nie okazała. Był to słaby dwunastak t. j. rogi liche przy kolosalnej budowie ciała. Drugiego jelenia strzeliłem na sztych na 60 kroków, kulą pełną i trafiłem go w mostek. Kula przebiła kość piersiową, expandowała zaraz po wejściu do organicznych części. Odłamki kuli znalazłem w sercu, płucach, a nawet w wątrobie i kiszkach. Jeleń tylko raz skoczył i leżał już bez życia, gdym do niego przyszedł. Był to także duży dwunastak o lichych rogach. — Trzeciego jelenia strzeliłem na połeć na 56 kroków i trafiłem go expanzywną stalową całą kulą nieco ku przodowi w przednią łopatkę, kula przebiła łopatkę i ją zgruchotała, pomimo tego jeleń wstał i rzucił się na mnie na sztych, gdym do niego podbiegł. Obaczył mię i odwrócił się na połeć. Wtenczas strzeliłem w komorę i runął bez życia na pięć kroków odemnie. Drugi raz strzeliłem pełną kulą z pancerzem stalowym do $^{3}|_{4}$ okrywającym ołowianą kulę. — Pierwsza kula o całym pancerzu stalowym zgruchotała pierwszą łopatkę, tak, że jeleń nią w powietrzu zawijał, expandowała w ciele, a odłamki przebiły jedno płuco i ugrzęzły w żebrach drugiego boku. Druga kula ugodziła jelenia poza zdrową łopatkę, expandowała wewnątrz, przebiła drugie płuco, a części jej strzaskały zdrową łopatkę drugą i żebra po przeciwnym boku. Z tego się okazuje, że działanie kul ciętych pokrytych do trzech ćwierci płaszczem stalowym nietylko zastępuje działanie kul expanzywnych, lecz je o wiele przewyższa, gdyż w tych czterech wypadkach daleko większe było zniszczenie organizmu zwierzęcego po kuli pełnej, aniżeli po expanzywnej nawet całej okrytej płaszczem stalowym. — Strzelałem również do dwóch rogaczy, temi ciętemi pełnemi kulami i doszedłem do przekonania, że rogacz trafiony miękko staje się zupełnie dla kuchni nieużytecznym, mianowicie cały cąbr jest strzaskany i kości żebrowe i stosa pacierzowego zdruzgotane. Polecam więc tę broń każdemu, który na grubszą zwierzynę chce polować, a przytem ma to uczucie, że nosi ze sobą małą ptaszniczkę — strzelbę, która nie tylko jest lekką, ale nadzwyczajnie zgrabną. Ciekaw jestem bardzo działania kul tych na dzikach, które mają na sobie miększą skórę i więcej mięsa, myślę, że działanie będzie nadzwyczajne i że nie będzie potrzeba się troszczyć o szukanie dzika po trafieniu go, jakto się często po expresach zdarza.

Aleksander Wodzicki.

Z Antonin na Wołyniu dnia 25. października 1905.

Z rozpoczętym u hrabiego Józefa Potockiego w Antoninach, tegorocznym sportowym sezonem, wśród licznych Gości przybył także z Anglii Lord Lerat, magnat szkocki, a sławny sportsman i myśliwy.

Z polowań *par force*, jak dotąd, odbyły się dwa na jelenie, pięć na daniele, wszystkie z dobrym rezultatem i sporo polowań na zające.

Ponieważ jednak Gość zamorski, nie znał wcale polowań na dropie, a okolice Antonin w nie obfitują, więc urządzono dla niego, jedno takie polowanie z konną nagonką, na którem Lord Lerat, nietylko że widział kilkadziesiąt sztuk tych pięknych wielkich ptaków, ale celnym kulowym strzałem — położył jedną ładną sztukę.

Na samem zaś wyjezdnem Lorda, dla zapoznania go z tutejszemi polowaniami kniejowemi, w lasach Szepetowieckich urządzono polowanie na dziki.

Polowanie to, odbyło się 16. października i dzięki umiejętnemu ułożeniu planu, przez miejscowego dyrektora lasów pana Gustawa Hermanna i wykonaniu go co do joty przez pp. leśniczych, dowodzących konno obławą — wypadło świetnie, gdyż w niespełna trzy godziny polowania i w trzy tylko strzelby, — znalazło się na rozkładzie: 15 dzików i 2 kozły, do których strzelano dopiero po przejściu dzików. Wszystkie sztuki, ma się rozumieć padły tylko od kul. W polowaniu tem brali udział: Lord Lerat, książę Stanisław Radziwiłł i hrabia właściciel.

Lord Lerat, który na rozkładzie miał 6 dzików i kozła, tak był tem polowaniem zachwycony i w takie go ono wprawiło zdumienie, że prosił hrabiego, ażeby plan polowania iście po mistrzowsku obmyślany, sformowany i wykonany, pozwolił mu zabrać ze sobą, dla okazania go angielskim myśliwym, jako szczyt techniki łowieckiej pod każdym względem, na co naturalnie hrabia chętnie się zgodził.

W dalszym ciągu, w przerwach, pomiędzy polowaniami *par force* w dniu 23. października, odbyło się ze świetnym bardzo rezultatem, pierwsze w roku bieżącym polowanie w bażantarni Wolickiej. Strzałów było tysiące, tak że przy ostatnim miocie niektórym z myśliwych zabrakło nabojów, pomimo że wzięli ich po 500. Miotów wzięto 9 i jeden „sztreif“. Na rozkładzie, po skończonem polowaniu, a więc bez przeszukania leżało: 1 kozioł, 919 bażantów, 26 zajęcy, 25 królików, jastrząb i sowa. Bażanty latały znakomicie i rezultat iście rekordowy w naszym kraju — przeszedł najśmielsze oczekiwania.

W polowaniu tem brali udział książęta: Karol Radziwiłł i Hubert Lubomirski, hrabiowie: Tomasz Zamoyski i Ksawery Orłowski, baron Gustaw Taube, pan Tadeusz Dachowski i hrabia właściciel. Królem polowania był jak zwykle hrabia Tomasz Zamoyski, mający na rozkładzie 255 bażantów, 7 zajęcy i 5 królików.

Sezon sportowy trwa dalej, a drugie polowanie w bażantarni Wolickiej, projektuje się w początku listopada.

Artur Śliwiński.

Z Lisowic.

Dziesięciodniowe, jesienne polowanie w Lisowicach odbyło się w dniach między 11. a 21. października b. r., a więc dość wcześnie, by zastać w pełni ciąg słonek.

Niestety ciąg tegoroczny, jak w całym, z małymi wyjątkami, kraju i tu okazał się nader słabym.

Brak słonek, owej podstawy jesiennych łowów, wystarcza, by wynik nie był bogaty, z uwagi, że na czarnej stopie polowanie na dziki jest zawsze niepewne i utrudnione, rogacze wałęsające się o tej porze zwykle po sianożęciach i pastwiskach, rzadko w kniei na strzał wychodzą, a jarząbki, niestety, coraz mniej czują sympatyi do tych, dawniej przez się ulubionych borów.

Jedynie lisy, jak corocznie odpowiedziały oczekiwaniom, a urozmaicenia rozkładu dostarczyły: Wspaniały orzeł przedni *(Aquila fulva)* i dwa jelenie — dziesiątaki, o skromnych jednakże wieńcach, jak przystało na jelenie nizinne, już bardzo, może za obficie na naszem podgórzu rozrodzone.

Ogólny rozkład jesiennego polowania przedstawia się, jak następuje: jeleni 2, dzików 5, rogaczy 8, lisów 30, zajęcy 52, orzeł 1, słonek 40, jarząbków 4, jastrzębi 2, sów 2. Razem sztuk 146 na 358 strzałów. *A. K. W.*

Strzałkowce, p. Borszczów 1. października 1905.

Szanowny Wydziale!

Stosownie do październikowego polecenia zaprosiłem na dniu 12. października Panów Delegatów tutejszego powiatu do Rady powiatowej. Jawili się WPan Dzierzek, WPan Brodziński i WPan Gottwald; Juliusz hrabia Borkowski usprawiedliwił listownie nieobecność.

Zjazd delegatów uchwalił w zasadzie prosić Szanowny Wydział o pomnożenie liczby delegatów o dwóch członków a mianowicie o zamianowanie delegatami Pana Mynarskiego, dyrektora lasów w Germakówce i Pana Prevosta, zarządcę dóbr w Babińcach, jako wytrawnych myśliwych. Następnie uchwalił zjazd Delegatów podzielić powiat Borszczowski na następujące rejony łowieckie:

1. Wny Pan Dzierzek ma przydzielone: Borszczów, Łanowce, Wierzchniakowce, Piszczatyńce, Wołkowce, Strzałkowce i Wysuczkę.

2. Juliusz hrabia Borkowski: Boryszkowce, Okopy, Dźwinogród, Mielnicę, Michalówkę, Dźwiniaczkę, Chudykowce, Zawale.

3. Wny Prevost: Babińce ad Krzywcze, Sapohów, Michałków, Filipkowce, Szuparkę, Szyszkowce, Skowiatyn, Chudyjowce.

4. WPan Gottwald: Bereżankę, Skałę, Załucze, Wierzbówkę, Turylcze, Muszkatówkę, Gusztynek, Iwanków, Łosiacz, Gusztyn, Burdiakowce, Dębówkę, Zbrzyź, Zwiahel i Tarnawkę.

5. WPan Brodziński: Szerszeniowce, Olexińce, Bilcze złote, Monasterek, Muszkarów, Konstancyę, Jezierzany, Jezierzankę, Piłatkowce, Cygany, Korolówkę, Zielińce, Juriampol, Kapuścińce, Głęboczek, Kozaczyznę.

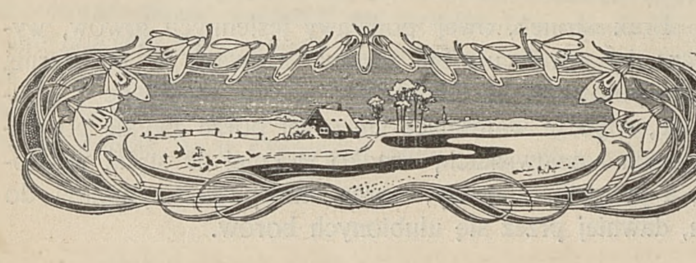
6. WPan Mynarski: Germakówkę, Paniowce, Kudryńce, Nowosiółkę, Zalesie, Uście biskupie, Iwanie puste, Krzywcze, Horoszowę, Niwrę.

Delegaci obrali mnie jako przewodniczącego zjazdów Delegatów.

O uchwałach tych zawiadamiam jednocześnie c. k. Starostwo w Borszczowie, aby we właściwych wypadkach odnosiło się w sprawach łowieckich wprost do Delegatów lub też do tychże przez Przewodniczącego.

O każdym zjeździe i uchwałach zjazdu nie omieszkam zawiadomić Wydziału, proszę jednak o uchwałę co do pomnożenia liczby delegatów, o zamianowanie na wstępie powołanych Panów i odesłanie dla nich odznak.

Czarkowski - Golejewski.





Sprawy Towarzystwa.

Wydział Gal. Tow. Łowieckiego dokonał już reorganizacyi delegatów. Sprawa była to trudna tembardziej, że niedoznaliśmy poparcia i pomocy prawie żadnej ze strony członków Towarzystwa. Na nasze pocztą rozesłane propozycye przyjęcia obowiązku delegatów, wielu członków już przychylnie nam odpowiedziało, od innych odpowiedzi jeszcze nie mamy. **Otóż upraszamy niniejszem uprzejmie, by członkowie nasi, których Wydział świeżo delegatami zamianował, raczyli go w jaknajkrótszym czasie o swej decyzyi w tym względzie zawiadomić.**

Odznaki, o które nowomianowani delegaci się upominają, prześlemy Im bezpłatnie, skoro tylko będą gotowe, za zwrotem kosztów przesyłki. Duplikat odznaki kosztuje 4 korony.

W poczet członków Towarzystwa zapisali się pp.:

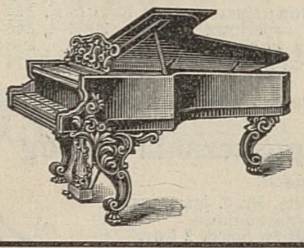
Konstancya de Montresor
Agopsowicz Ludwik
Agopsowicz Mieczysław
Romanowski Eustachy
Zajączkowski Władysław
Dr. Szczepański Włodzimierz
Dr. Drużbacki Feliks.

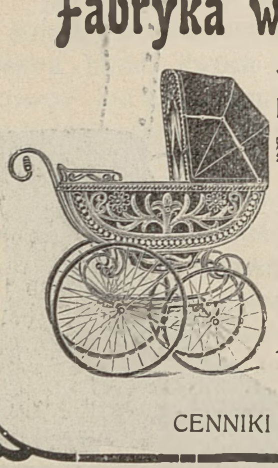
KRONIKA.

Podróż jaskółek... koleją żelazną. W Szwajcaryi w połowie października b. r. nagle oziębiła się temperatura i spadły przedwczesne śniegi. Ucierpiały na tem i jaskółki, które zwykle nieco później odlatują do cieplic. W okolicach jeziora Lucernskiego mnóstwo tych ptasząt ginie, inne są tak osłabione, że nie mogą latać! Tamtejsze tow. ornitologiczne ulitowało się nad biednem ptactwem. Wyłapano przemarznięte jaskółki, ogrzano je i nakarmiono, a w końcu w wielkich klatkach wysłano koleją do Włoch i w Chiasso wypuszczono na wolność. Tym sposobem ocalono życie przeszło 500 jaskółkom.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. P. Kienowi w Jaworznie. Rękopisów nie zwracamy.





Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**